

„Polonistyka musi być jednak wielogatunkowa: od laboratoryjnego języka sympozjów do przystępnej, pięknej sztuki pisania” mówił Jerzy Ziomek w wywiadzie opublikowanym w 1979 roku na łamach ówczesnej „Polonistyki”.

Stwierdzenie to jest aktualne jak nigdy dotąd. Anegdotyczne już siadanie przy osobnych stolikach podczas konferencji teoretycznoliterackich strukturalistów i hermeneutów przeszło do historii. Chcemy dyskutować, wymieniać myśli, wchodzić w spory z poczuciem, że „jedynie słusznych” teorii już nie ma. Myśli rozwijają się w procesie przyjmowania faktu istnienia różnorodności spojrzeń kreujących samozwrotnie sam akt poznawczy.

Powiedziałabym dziś – polonistyka musi być wielogatunkową i wielostylową sztuką mówienia i pisania, otwartą także na strefy, w których nie obowiązuje konwencjonalna moc jednoznacznego nazywania. Namysł nad naszą literaturoznawczą mową składa się też z momentów braku, niegotowości, wahania, a nawet błędu. Który gatunek to wytrzyma? Który styl to ogarnie? Rodzi się pytanie, jak nie zatracić możliwości uchwycenia momentu rodzenia się jeszcze niegotowych formuł i jeszcze nienazwanych gatunków wypowiedzi, które powstają – mówiąc językiem wyobraźni Brunona Schulza – gdzieś „na początku czasu”, „w trzynastym miesiącu”, rozkwitają na początku myśli, rozwijają się w dialogu, dyspucie, polemice, sporze, jako pomysły tkwią już w liście, mailu, słyhać je w rozmowie, rozrastają się w dyskusji panelowej. Żywa mowa stwarza myśli – chciałoby się powiedzieć – „na chwilę”, by w zapisie utrwalić ich kształt. Słowa zapisane, wbrew Platonowi, nie uwalniają nas od pamięci, pismo nie jest drugorzędne i podporządkowane mowie. Pismo żywi się także niegotowością, chwiejnością, prowokując wielogłosowy ruch myśli. Pismo „wydarza się”. Bywa, że jest równocześnie retoryczną korekcją i redakcyjną korektą, siłą eliminującą definitywnie słowa, ostatecznym wykreśleniem, ale i, wprowadzającym palimpsestową nierozstrzygalność, przekreśleniem. Pismo zawiera zarówno przestrzeń kreacji, jak i obszar unicestwiającego procesu wymazywania. Jeśli przyjąć, że nasze czytanie jest aktem performatywnym, to, wchodząc w kontakt ze sztuką, stale unieważniamy barierę między sobą a dziełem, z którym obcujemy. Odbierając sztukę, stajemy się sami zarówno jej kreatorami, jak i przedmiotami procesu tworzenia. Mocą performatywności sztuki jest, jak się wydaje, właśnie jej wielogłosowość.

„Przestrzenie Teorii” chciałyby pozostawić margines różnorodności słowa, być obszarem otwartych ekspresji, prowokować osobiste formy pisania o sztuce, które byłyby autorskimi gatunkami jednostkowymi. Teksty takie, eksponując niepowtarzalność danej sytuacji, momentu, chwili, osobistego charakteru pisania, paradoksalnie, ujawniają niezwykle wyraziście głosy innych, a tym samym stają się każdorazowo (nawiązując do określenia Marii Poprzęckiej) „innym obrazem”.

W pisaniu, jak w malarstwie, w ostrych kontrastach kolorów mogłyby zniknąć półcienie, smugi, wszelkie jego niedoskonałości. Piękno jednostkowego ładu zostaje dopełnione pięknem wielokrotnego rozproszenia, dlatego nie tylko polonistyka, lecz cała humanistyka musi być dziś wielogłosowa.

*Anna Krajewska*